

Innego końca świata nie będzie

z Anną Zadrożyńską
rozmawia Filip Wróblewski¹

Anna Zadrożyńska: Jeśli mam o sobie mówić, to proszę o szacunek, bo świat ujrzałam rok przed wybuchem światowej wojny.

Sęk w tym, że nie jestem z Krakowa, czy raczej – nie całkiem. Jestem Hutasem, pochodzę z Nowej Huty, a to robi sporą różnicę.

Filip Wróblewski: Skoro gramy w ten sposób: *miejsce urodzenia?*

Warszawa, jestem warszawianką, dla krakowiaków: niestety!

Aha! Rozumiem. No, to jest po prostu życiorys. Kontynuując, cała moja rodzina właśnie ze stolicy się wywodzi: ojciec i jego rodzina, mama też, chociaż już jej rodzice przybyli tu z różnych stron Polski.

Jak to „niestety”?

...to odwołanie się do stereotypu, krakowiakom podobno nie należy w ogóle wspominać o warszawskości.

Przed wojną zamieszkaliśmy na warszawskim Żoliborzu. Tu, podczas okupacji, rozpoczęłam edukację w klasztornej przedszkolu, potem prawie do matury nadal „byłam w klasztorze” Siostr Zmarłychwstaniek. To dość długo, nabiera się wtedy

¹ Niniejszy materiał stanowi fragment rozmowy przeprowadzonej w ramach projektu badawczego „Etnografia jako doświadczenie osobiste. Generacyjne uwarunkowania przemian metodologii i praktyk badawczych” realizowanego w latach 2011-2013, finansowanego przez Narodowe Centrum Nauki (grant numer 2011/01/N/HS3/03273). Wypowiedź autoryzowana.



FOT. JUSTYNA KOWAL

Anna Zadrożyńska

urodzona w 1938 r., zmarła w 2014 r., etnolog, profesor w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego. Odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Zajmowała się obyczajowością, zwyczajami świątecznymi i kalendarzem, kulturą robotniczą oraz kulturą współczesną. Autorka książek: *Wyrzeczysko. O świętowaniu w Polsce*; *Powtarzać czas początku*; *Targowisko różności. Spojrzenie na kulturę współczesną*; *Damy i galanci. O polskich zwyczajach towarzyskich*. Tłumaczyła prace z zakresu etnologii, w tym traktat Émile'a Durkheima *Elementarne formy życia religijnego*.

Filip Wróblewski

urodzony w 1985 r., etnolog.

pewnego stylu, ale i wiedzy, np. o dorocznym cyklu świętowania, o świętych pańskich, o katolickich (wyłącznie!) ceremoniach i obrzędach. A to już jest materia do wykorzystania wiele lat później w etnograficznych studiach i naukowej refleksji. To taki jasno sprecyzowany punkt widzenia do badań nad świętowaniami w Polsce. Tym zresztą zajmowałam się przez pewien czas. I dość, porzuciłam temat, bo tak naprawdę świąt bardzo nie lubię. Obchodzę je z daleka. Często wtedy wyjeżdżam nad morze.

Ale tam też są święta, choćby Bożego Narodzenia.

Ale tam da się je ominąć. Tam Boże Narodzenie jest naprawdę świętem rodzinnym i delikatne wymówienie się od zaproszenia jest przyjmowane z wdzięcznością. Co innego Wielkanoc, ona otwiera wrota domów na ludzi.

Powiem, że to jest dość śmiałe wyznanie, jak na osobę, która napisała kilka książek na ten temat².

Przecież się do tego przyznałam. W pierwszym zdaniu *Powtarzać czas początku (i Świątów, zaświątów)* napisałam: „świąt można nie lubić”.

Zwłaszcza, że Boże Narodzenie zaczyna się tuż po Wszystkich Świętych... Tylko się dziwić naszej narodowej niegospodarności, skoro nie zrobiliśmy nic z 11 Listopada.

To są odmienne świętowania. Doroczny cykl świąt katolickich wymusza przestrzeganie reguł,

którym towarzyszy kościelna komercja. Dopiero na nie nakłada się komercyjność świecka. Natomiast 11 Listopada dotyczy Narodu i Państwa, a one nie dysponują środkami nadprzyrodzonego przymusu. Moglibyśmy się po prostu wspólnie cieszyć, ale tego nie mamy w tradycji. Tradycji uczymy się w dzieciństwie. We własnym dorosłym życiu miałam oczywiście czas, gdy powtarzałam to, czego nauczyłam się w domu: wielkanocne mazurki (które pewnego roku rozbawieni goście zjedli już w Wielki Piątek), jedwabiste, parzone drożdżowe baby i aromatyczne, aksamitne bożonarodzeniowe makowce. Wyrób ciasta parzonego to był rodzinny prawie rytuał sprzed kilku pokoleń. Robiło się je przynajmniej dwadzieścia godzin albo dobę. Samo ciasto wymagało trzykrotnego wyrośnięcia i na dodatek wspaniałego wyrobienia do wyrośnięcia. Wyrabiało się je przy pomocy młodych ludzi. Mamy nasze miały trochę takie reumatyczne dłonie... Służyła do tego specjalna niecka, ona jeszcze do tej pory jest u rodziny mojego brata w Falenicy. Specjalna niecka – tego nie robiło się z dwóch kilogramów, tylko z piętnastu, by dla wszystkich starczyło. Ale to było ciasto jak aksamit, ono wreszcie musiało wyrosnąć, było opieczzone, a po wyjęciu z pieca musiało lekko opaść. To był atlas, ciasto-atlas. I można je było jeść do Wielkanocy, jeśli by człowiek wytrzymał, bo ono się nie starzało w ogóle. To był przepis sprzed iluś pokoleń. Jednym słowem – święto.

Dalej Pani twierdzi, że nie lubi świąt?

Lubiłam. Święta to był smak, zapach i emocje dzieciństwa, może też i młodości. Wtedy była w nich tajemnica. Dziś jestem chyba po prostu cyniczna, widzę w świętowaniu tylko biesiadowanie. Czy biesiadowanie ma w sobie cokolwiek tajemniczego? Gdy przygotowania do świąt zaczynały się na kilka tygodni wcześniej, gdy myślało się np. o wigilijnych podarunkach dla ludzi bliskich, gdy właściwie wszystko bywało problemem, bo najprostsze zakupy

² Zob.: A. Zadrożyńska, T.M. Ciołek, J. Olędzki, *Wyrzeczysko. O świętowaniu w Polsce*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1976; A. Zadrożyńska, *Powtarzać czas początku, cz. I. O świętowaniu świąt dorocznych w Polsce*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1986; *idem, Powtarzać czas początku, cz. II. O polskiej tradycji obrzędów ludzkiego życia*, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1988; *idem, Świąty, zaświaty. O tradycji świętowań w Polsce*, Twój Styl, Warszawa 2000; *idem, Świętowania polskie. Przewodnik po tradycji*, Twój Styl, Warszawa 2002.

(to okupacja i PRL były czasem mojego dzieciństwa i nawet młodości) wymagały nie tylko pieniędzy, ale głównie inwencji i zaradności, wszystko stawało się niespodzianką. A co dopiero, gdy w wigilijny wieczór, ku zdumieniu dzieciarni, u drzwi stawał prawdziwy Święty Mikołaj (zresztą od dawna już bardziej krasnała przypominający niż świętobliwego biskupa sprzed wieków). Do pewnego czasu właściwie chyba wierzyliśmy w jego istnienie, aż do momentu obnażenia tego oszustwa. U nas robiło się takie „centralne” Wigilie. I jeden, jedyny stryj, którego nigdzie nie aresztowali i którego wojna nigdzie nie rzuciła, przebierał się za Mikołaja. Do pewnego czasu właściwie wierzyliśmy w to, że to jest Święty Mikołaj. Ale któregoś dnia, kiedy przyszedł Mikołaj – pewnie już dojrzałam, za stara byłam na to i postanowiłam zupełnie obnażyć kłamstwo – ściągnęłam mu brodę. Zrobiła się konsternacja, tak mi się żal zrobiło własnego wyobrażenia o świętach. Tak naprawdę, to było obrzydliwe z mojej strony – brodę mu ściągnęłam. Podejrzewałam... A szkoda, bo dzieci powinny jak najdłużej wierzyć w marzenia, ocierać się o tajemnice. Dziś piszą listy do Świętego Mikołaja.

Świat tajemnic mojego pokolenia to wojna i powojenny rozgardiasz. Wiem, to była tragedia, ale dla dzieciarni czas wojny to był czas wspaniałych zabaw. Nic naprawdę nie było „naprawdę”! Ani groza wojny, ani popowstańczego wysiedlenia, ani powojennych ruin. Wszystko mogło się stać fragmentem zabawy: „To teraz ja do ciebie strzelam, a ty upadniesz”, „Dobra. Zabiłaś mnie”, „No to nie wstawaj”. I on wstaje! Śmierć była nierealna, nawet podczas Powstania. Byliśmy zbyt mali... Ale bardzo niedługo potem wszystko nagle stało się realne.

Oczywiście, w tej wojnie działy się rzeczy okrutne i okropne, ale ludzie żyli. Wobec tego mieli inne, rozmaite problemy, coś się działo zupełnie innego. Na przykład doskonale pamię-

tam patrol niemiecki, który wparował do domu. Moja mama, kiedy aresztowali ojca, zaczęła prowadzić – to się nazywało: sklep – pasztecarnia czy coś takiego, takie miejsce, gdzie przychodzili ludzie. Były ciastka, które piekła babcia, mama sama robiła kajmaki, ktoś przywoził ekery i obok tego pomieszczenia sklepowego było po schodkach wejście do pokoju – kiedyś była tam jakaś restauracja albo coś w tym rodzaju – tak jakby mieszkalnego pomieszczenia. Dopiero potem, po wojnie się o tym dowiedziałam, wtedy przecież nikt dzieciom takich rzeczy właściwie nie mówił. Mama po prostu brała udział w konspiracji i tam pod podłogą były skrytki, w tym pomieszczeniu poza sklepem, skrytki na broń, na rozmaite granaty i inne takie rzeczy. Oczywiście opalało się to piecykiem, kozą, zresztą w tych domach w ogóle nie było centralnego ogrzewania, tylko były piece, więc był skład, tak stała w rogu ta koza, było drewno, szczapy rozmaite i chyba trochę koksu, czy czegoś. Miałam takiego kumpla Henia, który był z pierwszego piętra, my z drugiego. Henio przychodził, myśmy tam przychodzili się bawić – do mamy, wywracaliśmy to wszystko i kiedy już zaczęliśmy się dogrzebywać do wnętrza tej sterty, wszedł patrol niemiecki. Przychodziło dziesięciu Niemców – to nie było tak mało – uzbrojonych po zęby. Moja mama zaczęła nas odganiać od tej sterty i mówić: „Dzieci, dajcie spokój, nie bawcie się, nie bierzcie tego...” Niemcy usiedli, jakieś ciastka sobie zafundowali, czy coś, a my z Heniem do tej kupki. Potem wyszli. Tam po prostu była ukryta broń, której jeszcze nie zdążyli ludzie schować. Gdybyśmy z wdziękiem, z tym Heniem, to rozgrzebali do końca, to dopiero byłaby jatka.

Mama mi to powiedziała dopiero po wojnie. Nie wiedziałam w ogóle. Więc, gdyby się podobne rzeczy mówiło dzieciom, być może, że byłyby mądre albo byłyby jeszcze głupsze, niż były i na przykład by do tych Niemców poszły i to pokazały: „Panowie, macie taki karabinek.

A tu tyle leży”. Nie sądzę, żeby tak było, ale mogło tak być. W każdym razie to były takie sytuacje, które gdzieś nawiązują do ruchu oporu, czy do czegoś podobnego, ale obok tego była jakaś swego rodzaju społeczna więź, która cały czas nie wymagała zdawania sobie sprawy z tego, że ludzie robią rzeczy wielkie, wspaniałe. Oczywiście, oni ryzykowali. Zresztą właściwie niesłychanie popularne było robienie makaronu. Makarony się robiło po to, żeby je suszyć i żeby były właśnie dla ruchu oporu, żeby mieli co jeść, bo coś trzeba było jeść. Więc jeżeli gdziekolwiek była jeszcze jakakolwiek mąka i można było ją kupić podczas okupacji, to się robiło makarony. To też było tajne, robiło się je w mieszkaniach, a już na pewno nikt na zewnątrz o tym nie musiał wiedzieć. Bieda solidaryzuje ludzi, natomiast brak pieniędzy wywołuje rywalizację.

Dla dorosłych, niestety, cały ten Zły Czas był aż w nadmiarze realny. Dobrze jest być poza nim, ale dla tych, którzy go przeżyli, nawet w formie dziecięcych zabaw, staje się on Czasem Wstępnego Chaosu (jak u Mircei Eliadego), układem odniesienia dla ocen współczesności. Dobrze, gdy kolejne pokolenia o tym rozmawiają – o tym świecie, którego na szczęście już nie ma. Rozmawiają nie tylko o martyrologii i czynach bohaterskich, ale o wydarzeniach codzienności, o okupacyjnych patrolach niemieckich żandarmów, o konspiracji, o głupocie i cwaniactwie ówczesnych dzieciaków i o odwadze dorosłych. Ten „powstańczy zryw”, „bohaterstwo”, „patriotyzm” tamtych lat to wspaniała przeszłość i legenda. Może niezbyt mądra, ale na pewno wspaniała. Dziś zobowiązani jesteśmy po prostu do przyzwoitości...

Mieszkam na warszawskim Marymoncie, na dwunastym piętrze zwyczajnego domu mieszkalnego. Najważniejsze jest to, że mam widok, przestrzeń nie jest depresyjna. Otwieram okno, mam przestrzeń i Lasek Bielański po drugiej

stronie. Po prostu wychodzę na spacer – mam dwie godziny spaceru, mogę nawet do Młocin dojść, jeśli oczywiście mam jakie takie nogi. Są trasy spacerowe, tu jest taki kanałek wzdłuż trasy Wisłostrady, więc gdzie człowiek wejdzie, to po prostu ma przyjemność. To już jest poza miastem. Człowiek ma szansę spokojnie myśleć. To jest coś takiego, co uspokaja. Człowieka ogarnia taka frajda myśli w tym wszystkim i nie jest to bolesne, nie jest wymuszone: „trzeba”, „konieczność”, „jest tylko dziesięć minut”. Można tak na spokojnie. Bardzo spokojnie. Patrzyć na mech, na borówki czerwone – brusznice albo na te borówki czarne – jagody. Patrzyć na drzewa. W ogóle przychodzą różne rzeczy do głowy. To naprawdę inspiruje. Poza tym, nagle, naprawdę, w takim kontakcie z przyrodą, takim niewymuszonym, takim zupełnie zwyczajnym, zdaje sobie sprawę z tego, że jest się częścią tego wszystkiego i że w badaniu kultury nie można pominąć aspektu fizycznego człowieka, że biologia i ta natura w nim jest. I nie wiem, jak by zaprzeczać i mądrzyć się na ten temat, to nieuwzględnianie tego akurat aspektu zrobiłoby bardzo dużo złego.

Blok to wstępne pole moich etnologiczno-antropologicznych penetracji. Dalej jest miasto, Warszawa. Wydaje się, że dziś właśnie miasta stają się naturalnym miejscem osadnictwa ludzi. Dlatego są ciekawe. Wioski okazują się miniaturowymi miastami, sypialniami dla mieszczuchów, miejscami weekendowych powrotów miejskich emigrantów (nazywanych „słoikami”). Niewiele ma to wspólnego z etnograficzną wizją kultury ludowej. Tu, w mieście, wyraźnie widać, że rodzina, jakaś grupa sąsiedzka, zawodowa, towarzyska demonstrowa własny styl życia, jakąś kulturę, jakąś własną „ludowość”, jakieś tradycje, choćby i niedawne. Bo i sąsiedztwo mieszkańców miejskich (nie tylko Warszawy) osiedli jest dziś kalejdoskopowe. Choćby takie osiedle jak to, gdzie w PRL-u to była spółdzielnia

nauczycielska i trzeba było być albo nauczycielem, albo mieć „znajomości”. Różne rzeczy się w Polsce robiło, żeby można było dostać mieszkanie. W każdym razie, w pewnym stopniu spółdzielnia była ekskluzywna – to może za mocne słowo, ale tak jakoś środowiskowo określona. Potem, gdy w 1989 roku zaczęły się przemiany, zwiększyły się możliwości dla bogatych – bo tu różni ludzie mieszkali – dla bogatych, którzy dorabiali się i zaczęli się wyprowadzać, zostawiając mieszkania. Zaczęto je wynajmować albo sprzedawać. I zupełnie inny zestaw ludzi się wprowadził. Na moim piętrze mniej, ale i bez tego jest tutaj spora rotacja, zupełnie nieprawdopodobna. Na „moim” osiedlu był już czas dominacji Wietnamczyków. Wynajmowali, bo nie mieli mieszkań. W tej chwili już się gdzieś przenieśli, bo już się dorobili albo wyjechali z Polski, albo się dorobili i mieszkają gdzie indziej. Nierzadkie jest sąsiedztwo małżeństw mieszanych (polsko-afrykańskie, polsko-hinduskie, polsko-chińskie, polsko-japońskie), dla przykładu: była tu taka dziewczyna, która wyszła za mąż za Hindusa. Ona jest japonistką i poznali się w Japonii. Rozmawiają z trojgiem dzieci po japońsku. To jest już nieprawdopodobna ekwilibrystyka. W każdym razie, według mnie, to jest miłe. Mnie się to bardzo podoba. Nierzadkie jest również sąsiedztwo naukowych pracowników zza wschodniej granicy, teraz coraz częściej pojawiają się młodzi przybysze z odległych i pobliskich wiosek.

Gdyby się przejść, właśnie w weekend, bo na co dzień nigdzie nikogo nie ma – znikają wszyscy, ale w weekend – te zakupy, samochody rozmaite, to dopiero widać, jak się świat otworzył, jak jest fajnie. Czy to nie jest ciekawe pole do badań dla etnologa? Dla antropologa? Naprawdę nie trzeba wyjeżdżać na wieś...

Ani do ciepłych krajów.

Chociaż te „ciepłe kraje” pozwalają odkryć np. granice tożsamości. Ponadto jesteśmy z tego kręgu klimatycznego, co to zmienności pożąda. W latach 80. ubiegłego już wieku byłam w Algierii.

Turystycznie, czy...

Brat był tam na kontrakcie, pojechałam do niego na parę miesięcy. Wcześniej prowadziliśmy instytutowe badania na Bałkanach, w Macedonii. Właściwie nie było tam problemu z wtopieniem się w tłum, chociaż kontakty między ludźmi opierały się głównie na znajomościach i zasadzie rekomendacji. Zawsze jednak można było taką rekomendację uzyskać. Nic podobnego nie dało się załatwić w Algierii. Już na pierwszy rzut oka przybysz z Europy okazywał się co najmniej inny, o ile nie obcy. A cóż dopiero, gdy stanął wobec np. Tuarega? Natychmiast po przylocie, w hali przylotowej algierskiego lotniska zobaczyłam właśnie Tuarega. To było zjawisko, król świata: wysoki, szczupły, w jasnoblękitno-szarej szacie, w turbanie z chustą, chroniącą przed pustynnym wiatrem i pyłem. Szedł. Nie, on nie szedł, on tak jak wielkie ptaszysko, jak lądująca czapla, sunął po posadzce przylotowej hali. Obraz i ruch nie do naśladowania przez Europejczyka. Utożsamienie niemożliwe. Od razu wiedziałam, że ja tu nie mam co robić, że jestem rozpoznawalna.

Po wyjściu na zewnątrz wkroczyłam w następną odmienność: pod drzewami pomarańczy (owoce drgały na gałęziach) modlili się muzułmanie. Była akurat pora modlitwy. Pod drzewkami, na których rosły pomarańcze! Byłam tam w 1985 roku, głęboki PRL, więc nie można było dostać pomarańczy, ich po prostu w ogóle w Warszawie nie było. Mnie to absolutnie zachwycało, a dla nich to było przecież normalne. Wiedziałam, że jestem w pełnej egzotyce. I te zapachy! Bo Afryka pachnie zupełnie inaczej niż Europa! Eukaliptusy

i kebab, jakiś aromat jarzyn, jakiś powiew podpiekanego mięsa, ale eukaliptus najsilniejszy.

A jak się zatem prezentuje dla etnologa Polska i okiem, i nosem?

Wolałabym nie mówić, bo przede wszystkim tu, zwłaszcza w miastach, trochę śmierdzi. Ale jednak można odnaleźć i zapachy interesujące, tylko że pozamykane w domach, w mieszkaniach. Tak jakby chronione przed nosem obcych. Ale już na przykład w windzie ludzie zostawiają swoje zapachowe wizytówki: perfum, wód perfumowanych (kiedyś mówiło się – kolońskich), płynów do płukania ubiorów, potu. Na korytarzach bloków mieszkalnych napotyka się codziennie fale obiadowych woni. Przed świętami królują bigosy (pachniało fajnie, dlatego że bigosy robiło się znacznie wcześniej, to był taki zapach kapuściany – jakoś samostatny w tym wszystkim; teraz ludzie zapomnieli, że bigos się robi na dwa, trzy tygodnie albo najlepiej miesiąc przed zjedzeniem, żeby mógł się przetrawić, przegryźć, przemrozić, odgrzać), wanilia, pieczone ciasta. W blokach bywa różnie, ponieważ wentylacja jest dziwna, zapachy wychodzą na klatkę schodową. Latem byli jacyś ludzie, którzy grillowali na balkonach. Nie polegało to na urozmaiconych kompozycjach jarzynowo-mięsnych, tylko kiełbasa z cebulą, posypane jeszcze jakimś ziołowym paskudztwem. W autobusach znów osobiste wizytówki i benzyna. Natomiast zapachy wiejskie płyną z pól (trawa, siano, kwitnące kwiaty, ale też i rozrzucony obornik i nawozy) i z obejść (pachnie zwierzętami, karmą, czasami gnojówką). Z domów zapachy wydobywają się rzadko, wchodzącego atakują z całą mocą, nie zawsze przyjaźnie, nie zawsze przyjemnie. Natomiast wizualnie to niezmiernie piękny pejzaż, Polska to kraj piękny, naprawdę niepowtarzalnie piękny. Ale myślę, że wszystkie kraje są niepowtarzalnie piękne.

Wyobrażam sobie, jak ten kraj musiał wyglądać w latach czterdziestych i pięćdziesiątych minionego

stulecia. Czyli wracając do punktu wyjścia, wspomniana Pani dzieciństwo i szkołę prowadzoną przez zakonnice. Jak to wtedy wyglądało?

Kraina dzieciństwa i młodości jest na ogół Arkadią. I dla mnie też tym była. Klasztorne korytarze, wyłącznie damskie towarzystwo, enklawa niekomunistycznej atmosfery. A wokół świat PRL-u. Uczono nas wiedzy i dobrych manier, koleżeńskości i współpracy ze słabszymi, ale też i wstydu własnej cielesności, pruderii i swoistego odrzucenia tych inaczej myślących. Dojrzewając, coraz bardziej zauważaliśmy otaczający świat. Dlatego zapewne na dwa lata przed maturą przeniosłam się (w dość licznym towarzystwie) do publicznej szkoły koedukacyjnej. Miało to też swój wymiar praktyczny: na wyższe uczelnie (były tylko państwowe!) rzadko przyjmowano kandydatów ze szkół prywatnych. Dlatego ta zmiana była swojego rodzaju wyrachowaniem – wszystkie chciałyśmy studiować, a „Zmartwychwstanki” były przecież szkołą prywatną.

Ale nie było to dobrze widziane...

Było to fatalnie widziane. W nowej szkole odnowiłam rozmaite znajomości z przedszkola, z okresu okupacji. Był to czas przewalania się Historii: żrący socjalizm, który ginie wraz ze śmiercią Stalina w 1953 roku, potem umiera Bierut i nagle poczuliśmy wkraczającą „odwilż”. Maturę zdałam w 1955 roku i jako matematyczka (z upodobania i możliwości) zdawałam egzaminy wstępne na Wydział Łączności (teraz Elektroniki) Politechniki Warszawskiej. Ale te matematyczne zainteresowania równoważył humanistycznie krąg moich szkolnych kolegów. Chodziliśmy więc na wystawy, na koncerty, na odczyty. I nastął rok 1956. 1 lipca, po pierwszym roku studiów, stawiliśmy się kilkuosobową grupą na praktykę w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego w Nowym Sączu. Fatalnie, bo kilka dni wcze-

śniej wybuchnął z całą mocą Poznański Czerwiec (28-30.06.1956). Grupa studentów, więc podejrzeni. Zakwaterowano nas na terenie zakładów, w mieszkalnych wagonach kolejowych. Dyspozycja dyrekcji: uniemożliwić swobodne wychodzenie do miasta, przecież właśnie my także byliśmy tą ręką, którą premier Cyrankiewicz chciał obcinać. A więc jakoś tak poczuliśmy się wciągnięci w całą opozycyjną akcję. Potem, już w październiku, na Politechnice, były następne protesty, ale w nich już nie uczestniczyłam. (Miałam zapalenie płuc, bo nieco wcześniej pływaliśmy z bratem po Wiśle. Jacht po prostu się wywrócił. W październiku kąpać się w Wiśle to troszeczkę tak jakoś niepoważnie). Na drugim roku studiów zaczęłam dojrzewać do zmiany...

Sporo się z tym Pani przemęczyła.

Wytrzymałam pięć semestrów, bo tyle trwały zajęcia z matematyki. Postanowiłam, inspiro-

wana dyskusjami z humanistami, studiować historię sztuki na Uniwersytecie Warszawskim. No, ale tam trzeba było znać historię, a my w PRL-u historii uczyliśmy się specyficznej i specyficznie. Uczono nas wybiórczych faktów, żadnej konstrukcji dziejowej, żadnego sensu zdarzeń, żadnych kontekstów i współzależności. A ja chyba miałam potrzebę systemu, takiego, które owe fakty by porządkował...

Pewien typ umysłowości...

Chyba tak, o syntezę chodzi. Miałam więc co robić do tych egzaminów wstępnych na Uniwersytet... Uczyłam się historii, to była groza. Właściwie do tej pory jestem niedouczona, chociaż chyba nie powinnam się do tego przyznawać, ale etnografowie, jak to przez pół wieku konstatowałam, mają dość dziwny stosunek do historii: wielu jej nie zna. Oczywiście był jeden ewidentny znakomity wyjątek – Ludwik Stomma.



Jego praca na egzaminie wstępnym to bogata faktografia i synteza. Nakreślił graf genezy II wojny światowej, schemat zależności i konfliktów przed jej wybuchem. I to by wystarczyło. Mógł nic nie napisać. Ale napisał.

A więc poszłam na egzamin, zdałam i z braku miejsc mnie nie przyjęto. I słusznie. Natomiast przyjęto mnie (z tzw. odwołania) na etnografię. Zadecydował o tym prof. Witold Dynowski, szef ówczesnej Katedry. Moja ciotka, która pracowała na uniwersytecie w dziale gospodarczym, powiedziała, żebym napisała odwołanie. To napisałam. I tu się zaczyna moja kariera. Ponieważ do dokumentów miałam przyklejone zdjęcie, ładne zdjęcie, bo jak człowiek ma dwadzieścia lat, to wygląda ładnie, jest fotogeniczny, jak każdy inny człowiek. I profesor Dynowski – wrażliwy esteta, nie bacząc na to, czy ja mam dwójki, trójki, czy cokolwiek, spojrzął na zdjęcie i mówi: „Biorę ją”. I wziął. Okazało się, że wtedy na etnografię przyjęto sześć osób. Nie miałam pojęcia, co to jest ta etnografia. Jak się tylko dowiedziałam, że się na nią dostałam, to pierwsze, co zrobiłam, to poszłam do biblioteki, żeby przeczytać w encyklopedii co to jest. Przecież nie wiedziałam, co to jest etnografia. To był taki margines humanistyki, że w ogóle dotąd to nie wchodziło w rachubę. Zajmowałam się „kulturą wielką”, skąd mogłam cokolwiek wiedzieć np. o Oskarze Kolbergu? Ale okazało się, że cały zyciorys, wszystko, co robiłam, czego poszukiwałam, to złożyło się na konieczne doświadczenie wstępne do studiów etnograficznych. Wszystkie osobiste i naukowe zdarzenia doznały rekonstrukcji i nabrały w tych studiach sensu.

Oczywiście, same studia, choć nie zawsze interesujące, odbywały się w niezwyklej atmosferze. Wszyscy się znaliśmy: i studenci, i wykładowcy, i woźna, i bibliotekarka. A miejsce było też niecodzienne: zwyczajna kamienica na ulicy

Hożej, gdzie również mieszkał profesor Dynowski i gdzie w oficynie można było przenocować (jak ktoś nie miał gdzie) albo nawet przemieszkiwać. Katedra mieściła się na III, IV, VI piętrze, zaś na piętrze V egzystował Zakład Etnografii PAN-u³. Taka ciepła atmosfera przyjazności, którą głównie kreował profesor Dynowski (i pani Buśkowa, woźna), goszcząc nas wcale nierzadko w swoim mieszkaniu, każdego nazywając jego imieniem. Odkryłam, że tylko tu będę mogła w nauce zająć się tym, co mnie interesuje. Pomimo możliwości, studiów już nie zmieniałam. Zostałam w etnografii na następne pół wieku...

Lata 50. i 60. to głębia realnego socjalizmu. Do humanistyki polskiej w zasadzie nie docierały żadne prądy nauki ze świata. A jednak pojawiały się w tej etnografii pojedyncze jaskółki: w 1959 roku po stypendium w London School of Economics powróciła adiunkt katedry, Zofia Szyfelbejn (Sokolewicz), chyba w 1962 roku z Paryża wrócił Krzysztof Makulski⁴, wtedy jeszcze student, który potem był bliżej związany z Zakładem Etnografii, a wiele lat później został dyrektorem Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie.

Chodzi o filię Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN?

³ „W kamienicy przy ulicy Hożej 74, na parterze znajdowało się mieszkanie profesora, na piętrach 3-4 siedziba uniwersyteckiej Katedry Etnografii, a w niej prawdziwa instytucja – woźna, pani Genowefa Buśko, dokarmiająca studentów placzkami ziemniaczanymi. Oddając cześć prawdziwej historycznej należy dodać, że na piętrach 5-6 znajdował się Zakład Etnografii Instytutu Historii Kultury Materialnej” (za: <http://www.etnologia.uw.edu.pl/www/instytut>).

⁴ Zob. J. Skrzyńska, *Jan Krzysztof Makulski (1938-1989)*, [w:] E. Fryś-Pietraszkowa, A. Kowalska-Lewicka, A. Spiss (red.), *Etnografowie i ludoznawcy polscy. Sylwetki, szkice biograficzne*, t. I, Wydawnictwo Naukowe DWN, Oddział Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego w Krakowie, Kraków 2002, s. 189-191.

Tak, o Zakład Etnografii Polski. Otóż Zofia Szyfelbejn to był pierwszy powiew wielkiej nauki: brytyjska koncepcja funkcjonalizmu, dzieła Bronisława Malinowskiego i Raymonda Firtha prezentowane studentom na ul. Hożej. Potem francuska fascynacja Lévi-Straussem, którą zarażał nas Krzysztof Makulski⁵. Jeszcze później, chyba w 1964 roku, już po doktoracie, do Francji na krótki staż wyjechała Zofia Sokolewicz⁶. Ale to był dopiero początek, który jednak zmuszał do uznania, że poza Polską istnieje nieograniczony wszechświat nauki.

W 1963 roku zrobiłam magisterium, napisałam bardzo klasyczną pracę etnograficzną, wspartą na terenowych badaniach podlaskich wiosek. I dziwnym zbiegiem okoliczności, nagle Profesor zdobył etat dla Katedry Etnografii. To była propozycja dla mnie. Od września 1963 roku zostałam tu na stałe.

Dziś patrzę na swoje losy z dystansem i poczuciem humoru. Ale wówczas to była sprawa poważna, wielka szansa, ale też i zobowiązanie. Zdaje się, że wykorzystałam i szansę, i podołałam zobowiązaniu. I z pewnością mogę powiedzieć, że w całej tej półwiecznej pracy miałam silne wsparcie ze strony Profesora i Zofii Sokolewicz. Także dzięki nim, dzięki etosowi warszawskiej etnografii powstawał przez lata wspaniały zespół, który dziś już zupełnie samodzielnie daje sobie radę w nauce. I pożegnaliśmy bardzo liczną grupę

⁵ Zob. Z. Sokolewicz, *Rewolucja, konflikt pokoleń czy kumulacja doświadczeń – zmiana pytań badawczych w etnografii polskiej po II wojnie światowej*, [w:] A. Malewska-Szałygin, M. Radkowska-Walkowicz (red.), *Antropolog wobec współczesności. Tom w darze Profesor Annie Zadrożyńskiej*, Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2010, s. 20-23.

⁶ Zob. Z. Sokolewicz, „*Moje życie naukowe można sprowadzić do próbowania kolejnego klucza z wielkiego pęku, który dała mi teoria poznania*”. *Odpowiedzi na pytania Zbigniewa Jasiewicza*, „Lud” 95 2011, s. 322-331.

doskonałych absolwentów, dziś wspierających naukę nawet bardzo odległych krajów.

Pani profesor, odnośnie studiów: sporo się zmieniło od połowy minionego stulecia. Ogromnie się cieszę, że miała Pani sposobność doświadczyć studiowania w tym takim starym, uniwersyteckim stylu – przez duże „U”. Nie tak, jak dziś, gdzie na jednym roku jest po kilkadziesiąt osób.

Dawno temu także próbkę masowości poznałam na Politechnice Warszawskiej, zapewne dlatego doceniłam atmosferę studiów na etnografii.

To jest w ogóle inna atmosfera.

Tę atmosferę tworzą jednak ludzie. Studia, skupiające nawet dużą liczbę studentów, nie muszą być masowe. W Katedrze (potem w Instytucie) Etnografii (potem Etnologii i Antropologii Kulturowej) UW pracowaliśmy nad systemem nauczania. W latach 50. i później takimi drożdżami rozwoju wymiany myśli i współdziałania były Międzyuczelniane Obozy Etnograficzne⁷. Już po pierwszym roku studiowania poznawaliśmy „załogi” pozostałych ośrodków etnograficznych, nie tylko w Polsce, ale także w sąsiednich „demoludach”, a niekiedy też i z „dalszej zagra-

⁷ Międzyuczelniane Obozy Etnograficzne organizowano w latach 1952-1985 (w latach 1952-1955 przez Studium Historii Kultury Materialnej Polskiej Akademii Nauk, a 1956-1985 przez Katedrę Etnografii Uniwersytetu Warszawskiego). Pomysłodawcą obozów był prof. Witold Dynowski. Były to dwutygodniowe praktyki terenowe, w których uczestniczyli studenci pierwszego i drugiego roku wszystkich katedr etnografii w Polsce. Dodatkowo jednostki te delegowały wybranych pracowników jako „instruktorów” oraz starszych studentów jako „podinstruktorów”. Samych studentów dzielono na kilkusobowe zespoły, tak by w grupie znaleźli się słuchacze z każdej katedry, co wymagało integrację międzyuczelnianą. Zob. A. Szyfer, *Zapiskane w pamięci. Z badań etnografu*, Wydawnictwo Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Poznań 2006, s. 60-61, 64, 69-70, 121-122, 124-125.

nicy”. Z czasem ta inicjatywa zmarła śmiercią naturalną, gdy zabrakło pieniędzy, gdy „kultura ludowa” przeobraziła się w kulturę masową, gdy zamiast oryginalnych obyczajów i obrzędów pojawiły się symulakra. Wówczas prof. Sokolewicz wymyśliła dla warszawskich studentów wspaniałe rozwiązanie dydaktyczne: laboratoria etnologiczne⁸. Tu małe grupy (10-12 osób) studentów pod kierunkiem pracownika nauki, już w drugim semestrze swoich uczelnianych zmagani, rozpoczynają pracę nad jasno sformułowanym problemem, zaczynając od wstępnego poznania metod badań, opisu i interpretacji. Potem następują badania terenowe, weryfikacja faktów i opracowanie materiału pod koniec zimowego semestru trzeciego roku studiów. To opracowanie staje się podstawą do napisania pracy licencjackiej. Jest to prawie system tutorski, którego kontynuacją okazuje się praca na późniejszych seminariach magisterskich.

Oczywiście naukowe zmagania i studentów, i tych dojrzałych naukowo uczonych wymagają stałych poszukiwań i dyskusji o metodach badania materii etnograficznej. Ja zaczynałam od klasycznej metody badań terenowych, którą ośmielałam się nazywać metodą Mariana Pokropka (profesora).

Znam tylko postać książkową⁹.

⁸ Laboratoria etnograficzne wzorem rozwiązań wypracowanych przez ośrodek warszawski zostały wprowadzone również do dydaktyki akademickiej w Krakowie w latach 90. minionego stulecia. Tak zorganizowanych laboratoriów nie uruchomiono w innych ośrodkach, pozostając wyłącznie przy zajęciach warsztatowych, wykładach i konwersatoriach dotyczących technik i metodyki badań terenowych oraz praktyk terenowych (wakacyjnych bądź śródrocznych).

⁹ M. Pokropek, *Budownictwo ludowe w Polsce*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1976; *idem*, *Atlas sztuki ludowej i folkloru w Polsce*, Arkady, Warszawa 1978; *idem*, E. Fryś-Pietraszkowa, A. Kunczyńska-Iraczka, *Sztuka ludowa w Polsce*, Arkady, Warszawa 1988.

To badacz niepowtarzalny, kolekcjoner faktów i encyklopedia polskiej klasycznej etnografii. Zna zapewne wszystkie wioski w Polsce (być może także w innych krajach, które penetrował naukowo). Ale jest to metoda zbierania faktów na podstawie kwestionariusza, a kwestionariusz – jak wiadomo – tworzy się na podstawie posiadanej wiedzy. Zatem niewiele da się dzięki niemu odkryć. A dziś świat odkrywać musimy, bo dotychczasowe opisy i interpretacje niewiele już wyjaśniają. Dlatego klasyczny kwestionariusz nie wystarcza, ale poszukiwania da się wesprzeć „dyspozycjami badawczymi” wtedy, gdy problem został już wstępnie sformułowany. W takich dyspozycjach pojęcia badawcze doznają operacjonalizacji i wskazują punkt startu rozmowy. Badacz, w zależności od rozwoju sytuacji narracyjnej, ma reagować na pojawiające się informacje i je stymulować. Wydaje się to proste, a wcale takie nie jest. Przede wszystkim samo sformułowanie tematu wymaga już wiedzy nie tylko faktograficznej, lecz także świadomości filozoficzno-metodologicznej, wymaga określenia teorii. To siatka pojęć, którą badacz akceptuje i które, według niego, są w stanie opisać badaną, obserwowaną rzeczywistość. Ale tak naprawdę, związek teorii z realnymi badaniami w terenie jest nikły. Pozwala badaczowi co najwyżej uzyskać dystans do siebie samego i zgodzić się na odmienną rozmówców¹⁰. Przecież musimy zdawać sobie sprawę, choćby tylko mniej więcej, z tego, czego szukamy, w jakim obszarze chcemy się poruszać. A jednak nie możemy z góry eliminować zaskoczenia i nieprzewidzianych zmian kierunku rozmowy. Dyspozycja badawcza pozwala też na akceptację odmienności rozmówców, co może skłonić badacza do zmiany naukowych planów, a nawet do weryfikacji wstępnej teorii.

¹⁰ Zob. N. Barley, *Niewinny antropolog. Notatki z glińskiej chatki*, tłum. E. Sztyler, Prószyński i S-ka, Warszawa 1997; a także inne książki tego antropologa po angielsku (przypis AZ).

Doświadczyłam tego co najmniej dwukrotnie, podczas badań.

Pod koniec lat 60. ubiegłego wieku postanowiłam rozpocząć badania w pomorskich PGR-ach. Byłam przekonana, że kwintesencją socjalistycznej rzeczywistości, a więc i kultury, są właśnie Państwowe Gospodarstwa Rolne. Te z Pomorza Środkowego znałam. A więc skompletowałam dwuosobową ekspedycję (do tego planu dała się namówić tylko Mirosława Drozd, wówczas jeszcze studentka, dziś profesora Drozd-Piasecka) i pojechaliśmy latem do wybranej osady. Zarówno badania, jak ich efekty opisałam w pracy doktorskiej¹¹, a potem wykorzystałam także w książce pt. *Homo faber i homo ludens*¹². Ta badawcza rzeczywistość była chyba porównywalna z sytuacją Malinowskiego na Trobriandach. Nie od razu udało się nam pojąć konstrukcje siatek rodzinnych powiązań mieszkańców osady, ani zrozumieć sens sąsiedzkich powikłań. Żadne klasyczne badanie etnograficzne nie było możliwe. Skupiłyśmy się zatem na słuchaniu historii życiowych losów naszych rozmówców. Wiele lat później, już po 1989 roku, gdy PGR-y upadły, odwiedzałam te strony. Z przerażeniem śledziłam wydarzenia i losy znanych mi osób, aż do chwili, gdy ich rzeczywistość zaczęła się uładzać.

Inną sytuacją badawczą, która zmusiła mnie do zmiany punktu widzenia już na starcie, była penetracja środowiska tzw. chłoporobotników w warszawskiej Fabryce Samochodów Osobowych.

I co by nie mówić, to tego rodzaju kontakty, takie spotkania z ludźmi, których w swojej codzienności najczęściej nie uwzględniamy, uczą

¹¹ Praca doktorska obroniona w 1972 r. pod tytułem: *Motywy zawarcia i oceny małżeństwa a system wartościowania współczesnych społeczności wiejskich w Polsce*.

¹² A. Zadrożyńska, *Homo faber i homo ludens. Etnologiczny szkic o pracy w kulturach tradycyjnej i współczesnej*, PWN, Warszawa 1983.

pewnej pokory, samopoznania, dystansu, wręcz pogody ducha. Wydaje mi się, że jeżeli w każdym z takich cykli badawczych człowiek-badacz maksymalnie siebie eksploatuje, to z konieczności „otwierając” innych, dociera też w głąb siebie samego. A przecież taką koncentrację osiąga się tylko wtedy, gdy pracuje się naprawdę.

Intrygujące jest to, co mówi Pani na temat samopoznania dokonującego się niejako przy okazji. Pobrzmiewa w tym echo starożytnej zasady cognosce te ipsum. Zatem, jak się rzecz miała z Panią?

Właśnie tak, jak powiedziałam. Trochę się o sobie dowiedziałam, nie przesadzając jednak, bo badania to jednak nie psychoterapia, a w każdym razie nie tylko. Chociaż, chcąc nie chcąc, poznaje się także granice możliwości wkraczania w prywatność, może nawet intymność tych, z którymi się zadajemy podczas badań. Sprawdza się pola obrzebne, z których już dalej pytać nie należy. Czasami jedno słowo okazuje się zakłóceniem intymności, sprzeniewierzeniem się umownej relacji, dowodem na odmienność i jednej, i drugiej strony.

To tak jak z kontaktami między ludźmi...

No tak, ale antropolog musi to wiedzieć.

Pani profesor, odnośnie badań terenowych i podobnych sytuacji. Czy zdarzyły się jakieś sytuacje, które miały znaczący wpływ na Panią? Poruszyły Pani świat wartości, światopogląd...

No pewnie! Wszystkie badania, które prowadziłam, wszystkie obserwacje miały wpływa na to, jak myślę, jak się ze sobą dogaduję. Wioski podlaskie, PGR-y, FSO, Algieria, Bałkany, tego się nie da wymazać. Powstaje w umyśle matryca, która swe piętno odciska na każdej późniejszej refleksji. Określa też kręgi ludzi poznanych, zna-

jomych, przyjaciół, bliskich. Kreuje świadomość swoistego osobistego konwenansu, pozwalającego zachować poprawne więzi z różnymi ludźmi, nie wykluczając na przykład przyjacielskich więzi z naszymi rozmówcami.

Z tego co Pani powiedziała wnoszę, że z przyjaznieniem się z naszymi rozmówcami, bliskością z nimi wiąże się pewna „niewygoda”. Czy możemy rozwinąć ten wątek?

Nie wiem, czy jest to niewygoda? Bo przecież kontakt z drugim człowiekiem polega na respektowaniu pewnej granicy szacunku. Wydaje się, że gdzieś tam jakąś pestkę w środku mamy i ta pestka jest otoczona... I przełamanie tego, to zależy od różnych sytuacji w dzieciństwie i później, po prostu nie dopuszczamy innych do tego momentu.

Ludzie, z którymi się kontaktujemy, do pewnego momentu pozwalają nam wyciągać z siebie rozmaite wiadomości. Ale już nie dalej. Oni nawet, jeżeli już uchylą jakiegoś rąbka tajemnicy, nawet rodzinnej albo swojej osobistej, to potem się szybko z tego wycofują, zamurują ten kontakt, ten kontakt właściwie jest nie do przywrócenia. To tak, jakby były zamykane, odgradzane strumyki, które czuje się, że one są, dają znać, że coś tam jeszcze by można było... Nic. To człowiek się cofa.

Sądzę, że to chyba jest istota człowieczeństwa, że nie wiem przy jak bliskim kontakcie z drugim człowiekiem, jednak jest w nim: „ja jestem”. To „ja” gdzieś tam siedzi. Poza tym nie wiem, jak to „ja” zareaguje w pewnym momencie. Myślę, że to na tym polega kontakt z drugim człowiekiem, że cały czas właściwie, jak byśmy nie chcieli, nie jesteśmy w stanie przekroczyć pewnej bariery. Badania terenowe mają to do siebie, że do jakiegoś momentu są bardzo łatwe, ale im dłużej

i dogłębniej drąży się problem, tym stają się trochę trudniejsze, potem bardzo trudne, aż wreszcie rozmówca staje się niedostępny. Już ten kontakt okazuje się murem nie do przebycia. Wtedy trzeba się wycofać.

Myślę, że odrobina tajemnicy jest niezbędna w życiu.

Tajemnicy i intymności...

Niezbędna i zdrowa.

Pobudza do zainteresowania drugim człowiekiem, bo chyba zawsze wyczuwamy, że nie wszystko wiemy o nim, prawda? Że coś z niego nam umyka, ale jemu też umyka z nas. Wszystko jest takie, powiedziałabym, symetryczne. Świadomość tego to wyraz pokory, a więc i wyrozumiałości, równouprawnienia. Tu nie chodzi o tolerancję, w pojęciu tolerancji zawiera się jakieś – czy ja wiem? – lekceważenie, obojętność...

Pogarda...

To może za mocne określenie, ale na pewno nie równoprawność...

Osoby z naszego środowiska rozmaicie reagują na określenia w rodzaju „antropolog” albo „etnograf”. Bywa, że opowiadający się za którąś z opcji są wręcz uczuleni na drugą i to, co z nią utożsamiają.

Unikam rozważań terminologicznych. Według mnie nie prowadzą one do rozwikłania problemu nauki. Wydaje się, że etnograf (etnolog, antropolog) to – jak mawiał profesor Dynowski – przede wszystkim człowiek specyficznie spoglądający na świat, to nie profesja. Potem zrozumiałam, że ta specyfika wymaga wiecznego amatorstwa, w tym szlachetnym rozumieniu tego pojęcia jako przyznawania się do niewiedzy i bezustannego poszu-

kiwania wiedzy o innym człowieku, starań w zrozumieniu jego działania. Innymi słowy etnologia wymaga rozdwojenia jaźni. Trzeba żyć własnym życiem, lecz jednocześnie mieć we własnym umyśle włączoną na stałe analityczną strukturę (żeby zapamiętywać to, co się obserwuje). Nie umiem już pójść na wesele, nie potrafię po prostu pójść i tylko się w tym wszystkim znaleźć towarzysko. Jednocześnie jestem antropologiem i nic na to nie poradzę. Potrafię się świetnie bawić towarzysko, prowokować sytuacje, które to z drugiej strony rejestruję jako sytuacje badawcze – znakomicie. Myślę, że ci, którzy nie prowadzili badań, mogą tego nie mieć, nie wyczuwać. Więc tym jest dla mnie etnologia – bezustannym rozdwarzaniem jaźni. Nie ma od tego odpoczynku. Im dłużej uprawia się tę dyscyplinę, tym ten mechanizm staje się perfekcyjniejszy.

Bardziej przemożny.

Można na przykład siedzieć na interesującym wykładzie, uczestniczyć w poważnej ceremonii, świetnie się bawić z przyjaciółmi, oglądać telewizję, słuchać radia czy muzyki, a ten mechanizm cały czas pracuje i potem daje znać o sobie.

Wspomniała Pani o pewnym, wynikającym z doświadczenia, rodzaju rozeznania. Zatem, czy antropolog bądź etnolog powinien wiedzieć, jakie są granice i jakie są reguły zachowania, czy powinien bezwzględnie znać konwenanse? W warunkach terenowych tak się chyba nie da?

Powinien to czuć, często nazywa się to intuicją. Dla przykładu, zdarzyła się następująca sytuacja: prowadziłam badanie etnograficzne we wsi Choroszczyńska na potrzeby habilitacji. Razem z grupą laboratoryjną robiliśmy „światopoglądowe podstawy wspólnoty” – tak sobie wymyśliliśmy, tak trochę za Znanieckim, czy Obrębskim. Bardzo fajna grupa, same dziewczyny i jeden Sławomir

Sikora. Przyjechaliśmy do wsi, zakwaterowaliśmy się, najpierw długo szukaliśmy tej wioski. To były studentki pierwszego roku, więc chodziłam z nimi po domach, żeby nawiązać kontakt i to się rozniosło... Strasznie miła była ta wioska. Rozniosło się, że przyjechali studenci i „władza”. Ja byłam „władzą”. To miało konsekwencje nieprawdopodobne. Studentki oczywiście zostały rozlokowane, chodziły już po wsi. Rzeczywiście, jak już do jednej chaty weszły i coś tam pogadały, to zaraz następne były. Wiadomo było w wiosce, że przyjechali studenci i że będą chodzili. W rezultacie, w pewnym momencie przychodzi do mnie jedna z dziewczyn i mówi, że jest taka zamawiaczka, która zamawia róże. Ona jest starsza pani, babcia taka, która jest właściwie już u schyłku swojego życia, ale powiedziała, że zrobi nam seans tej róży, jak „władza” do niej przyjdzie. Więc mówię: „Słuchaj, nie ma problemu, idziemy do babci”. Wchodzę, babcia siedzi taka opatulona w izbie, oczki tylko jej błyszczą, jak wchodzę i Iza mówi: „no to właśnie przyszła pani...” Coś tam powiedziała, nie wiem. I ta babcia wstaje, podchodzi do mnie, chwyta mnie za rękę, całuje w nią i – to było straszne – mówi do mnie: „Witam władzę”. Dla niej władza – wszystko jedno, jak wyglądała, i czego władza – była czymś tak odległym, była czymś tak sakralnym, że należało ją pocałować, choćby to była dziewczucha. Niewiele miałam wtedy lat, bo to był osiemdziesiąty chyba pierwszy. Taka dorosła byłam, ale naprawdę w porównaniu z tą kobietą, która co najmniej trzydzieści lat byłaby starsza ode mnie – w życiu bym nie pomyślała. Pierwsza rzecz, to chciałam jej wyciągnąć tę rękę, ale potem sobie myślę: „Nie. To jest rytuał, muszę w tym uczestniczyć”. I uczestniczyłam, ucałowała mnie w rękę, ja się zachowałam jak „władza”, powitałam ją, powiedziałam, że wszystko fajnie i siedliśmy. Zrobiła nam seans zamawiania róży z woskiem, z takimi rozmaitymi nićmi. Potem, po tym całym zamawianiu róży, wszystkie miałyśmy ból głowy. Śmierdziały te konopie, którymi ona

palifa, bo się takie kupki robi zwinięte z konopi. Więc bywa człowiek i w takiej sytuacji, jak z „władzą”... Sądzę, że jakbym wycofała rękę, to doszłoby do nieporozumienia. Dobrze, że się opamiętałam. Teraz te wsie są inne.

Wobec powyższego, jakie są granice tego, na co jesteśmy w stanie się zgodzić w trakcie badań?

To problem etyczno-psychologiczny chyba każdej dyscypliny nauki. W przypadku etnologii ociera się on o szacunek dla drugiego człowieka i własną godność. Wkraczając w ludzkie życie, uzurpujemy sobie prawo do wykorzystania tej wiedzy w jakimś opracowaniu, w jakimś tekście, czy w publikacji. Stosujemy na ogół niejasne kryteria oceny, pozwalające, w imię dobra nauki, na ujawnienie czyjejs prywatności. A są to kryteria z dziedziny etyki, moralności. Dziś w publikacjach ukrywamy nazwy miejscowości, nazwiska rozmówców, wszelkie informacje mogące zidentyfikować i ukonkretnić nasz dorobek badawczy. Czy tak trzeba? Czy to wystarczy, żeby powiedzieć, że szanujemy tych, którzy są niezbędnym warunkiem naszej pracy?

Rozumiem, o co chodzi. Jeżeli powiem, że jakiejś informacji udzielił mi etnolog zajmujący się badaniem grupy Indian takich i takich, to wiadomo który, a przynajmniej można łatwo sprawdzić.

No właśnie. Ale Europejczycy Indianami jakoś mniej się przejmują. W stosunku do własnych interlokutorów chcą być przyzwoitsi.

Problemy etyczne antropologów są czymś niezmiernie skomplikowanym. Wydaje mi się, że zasadniczy problem etyczny zaczyna się przede wszystkim na poziomie pisania.

Tu ma Pan z grubsza rację, ale pozwolę sobie na nieco odmienne zdanie. To się zaczyna w momencie upubliczniania, jakiegokolwiek upubliczniania. Bardzo źle zniosłam, jak Artur Domosławski odkrył najintymniejsze sprawy Ryszarda Kapuścińskiego¹³. Pokazać, że nadużywał i zmyślał niektóre teksty, to jeszcze pół biedy. Ale kiedy napisał o jego życiu osobistym, co sprawiło ogromną przykrość jego żonie, nie wiem, czy wiedziała, czy nie – nie ma znaczenia. Po prostu upublicznienie tej informacji, to jest właśnie przekroczenie granicy. To po prostu jest nieprzyzwoite. Po co to? Zupełnie nie o to chodzi, żeby nie podważać autorytetów i pomników nie burzyć – niech sobie burzą, tylko niekoniecznie taką metodą. To nie jest sprawa społeczna.

Są kwestie agory i są kwestie alkowy i do alkowy raczej nie powinno się wchodzić...

Tam przecież zamykano drzwi, a brak okien skutecznie dostęp blokował.

Oczywiście, ten rodzaj refleksji i troski jest niezmiernie ważnym, nie mniej ważnym jest również zachowanie właściwych proporcji.

Ale te proporcje to właśnie sprawa wiedzy i intuicji.

Warszawa, 27.11.2012

opracowanie: Filip Wróblewski,
Anna Zadrożyńska

¹³ A. Domosławski, *Kapuściński non-fiction*, Świat Książki, Warszawa 2010.